

## Z maksymalistą nie wygrasz [FELIETON]

Oczywiście, najgorzej wpaść w łapy humanistów, dobrze o tym wiedział poeta, który stał się mimowolnym entuzjastą Woroneża i jego zabytków. Ale znaleźć się w dłoniach maksymalistów etycznych to też żaden miód – pisze Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

Z maksymalistą nie masz szans, powiedz to sobie od razu. Nie warto nawet wyciągać (na dowód, że nie jesteś potworem) portretu Sokratesa, mocno prześwietlonych zdjęć rodzinnych czy zaświadczenia ze stacji krwiodawstwa. Fakt, że nie podzielasz rozedrgania maksymalisty oraz jednoznaczności ferowanych przezeń werdyktów (szczególny oksymoron: nieruchome, a jednocześnie wirujące ostrze; niewykluczone, że maksymaliści etyczni mają coś wspólnego z bractwem tańczących derwiszów) przekreśli cię już na wstępie.

Nie próbuj sięgać po jakikolwiek argument, rysować tła wydarzeń, tłumaczyć zależności: to takie kompromitujące, takie małostkowe i szczegółarskie! A poza tym – tylko winni się tłumaczą. Nigdy nie osiągniesz tej czystości wyborów, nigdy nie będzie Ci nieznacznie drżał głos (to wibrowanie spiżowych płyt, to potężne, ukryte „hummm!” wstrząśniętej ziemi!) przy cytowaniu zdania Dostojewskiego o łzie dziecka, która skazać może każde dzieło Stworzenia, a co dopiero mały, nielubiany kraj, w którym przyszło ci płacić podatki, sprzątać po psie i kasować bilety.

Pogódź się z tym. Jeśli się uda, oprzyj się lekko o ścianę, rozluźnij mięśnie. Przymknij oczy. To będzie trwało długo. Maksymalista dopiero rozpędza się, podrywa do lotu, rozpościera potężne, śnieżnobiałe skrzydła. Jakie to wyzwalające. Jak cudownie jest **odciąć się**, z zawrotnej dla zwykłych śmiertelników wysokości patrzeć na ten bezmiar zła, na te wody trupie.

Po takim locie, po takiej dawce chłodnego tlenu potrzebna jest pożywna strawa. Maksymalista przysiada więc na skalnej grani i warzy *Eintopf*: sycący posiłek, do którego wrzucić można wszystko, co zostało w plecaku.

*Maksymalista ma za to w jukach pamięć zbrodni komunizmu, odrazę do polskiego heroizowania, do polskich szmalcowników i hien cmentarnych – no i oczywiście maksymalizm*

Zwykle są to mielonka, reszta makaronu, ser, a nawet garść rodzynek. Maksymalista ma za to w jukach pamięć zbrodni komunizmu, odrazę do polskiego heroizowania, do

polskich szmalcowników i hien cmentarnych – no i oczywiście maksymalizm. Zobaczmy, co z tego wychodzi. „Między Polską a Białorusią umarły co najmniej trzy osoby. Z zimna. Jak na Syberii, jak w Gułagu. Ludzie z PL, których to nie rusza. Którzy usprawiedliwiają to elokwentnie, bez mrugnięcia okiem. Mam wrażenie, że jest ich wielu. Wielu z nich ogromnie przeżywało śmierć swojego papieża-aktora w luksusowej klinice w Rzymie. Dla wielu z nich 200 tys. zamordowanych

w powstaniu warszawskim cywilów, w tym zgwałcone kobiety i dziewczynki z Zieleniaka, to >heroizm< i >ofiara krwi<, jedna z najpiękniejszych kart polskiej historii. Myślę też o powojennych wykopkach w Bełżcu. Jestem przerażona” – pisze na Facebooku eseistka i tłumaczka Renata Lis.

Pyszne, prawda? Polacy zatem a) budują Gułag, b) są winni śmierci trzech osób, c) ale nawet nie mrugną okiem, d) są elokwentni, e) oplakują nie tego, co trzeba, f) przy tym znanego sybarytę, g) za nic mają męczeństwo Zieleniaka, h) ale używają go jako budulca heroicznej narracji, i) wrywają trupom złote zęby. Trzeba przyznać, że przynajmniej elokwencję ma autorka nie gorszą niż reszta tego ludu troglodytów.

Ale w tej jednodaniowej kuchni przyrządzić można wiele potraw, na przykład bizantyniście Przemysławowi Marciniakowi relacja o antysemitkich zamieszkach na przedwojennych uczelniach sprzed 85 lat skojarzy się z przepychankami Straży Granicznej i celebrytów: „Tu napiętnują, bo się solidaryzował, tam oplują i wyśmieją, bo biegał, żeby dać komuś butelkę wody”. Polska współczesna jest w prezentacji maksymalisty inkarnacją państwa, w którym dokonuje się Zagłada („Radiowy reportaż z granicy: nocą miejscowi sprawiedliwi zanoszą w ustronne miejsca garnki z zupą i chleb. Żeby ukrywający się w lasach uchodźcy znaleźli, a żaden sąsiad nie przyuważył. Okupacyjne wyparte powraca jako współczesny koszmar” – pisze inny eseista, którego zbyt cenię, bym przywołał go z nazwiska) oraz klasycznej dyktatury: „kolbami zaganiają uchodźcze grupy w noc, zimno i głód”, pisze na łamach „Krytyki Politycznej” Roman Kurkiewicz. Rozumiecie –

kolbami. „Haniebne” – tnie słowem jak szpicrutą prof. Adam Leszczyński, prowadzący ostatnio na Facebooku cykl zapisków o moralnym samobójstwie Polski.

*Mylą się i błędzą, a ja, chociaż  
widzę płytkość ich ripost, też  
nie mam gotowej odpowiedzi*

Odcieni tego  
maksymalizmu jest  
tyle, co autorów.  
Można ciąć  
szpicrutą, można  
szczuć Świętą

Rodziną (ubiegłego lata modne było malowanie Maryi na tęczowo, w tym sezonie wraca motyw Ucieczki do Egiptu. Polska-Herod, jakie to oczywiste!). Ta praktyka retoryczna wymaga pewnej ekwilibrystyki: należy odwołać się do standardów etycznych chrześcijaństwa (do których oczywiście Polacy-katolicy nie dorastają), nie zaniehbując jednocześnie zasadniczej niechęci do tego kultu. Można trafić łokciem pod żebro „papieża-aktora”, można rzecz wywinąć w zdaniu wielokrotnie złożonym, jak u Kurkiewicza: „współczucie, empatia, człowieczeństwo – nie ma ich w kodeksie uczuć religijnych, których do upadłego bronią ci sami, którzy kolbami zaganiają...”, etc., etc. Czyli źle, że bronią tych kodeksów, ale i źle, że się do nich nie stosują: jak się nie obrócisz, kolba (polska kolba) z tyłu.

Można też maksymalizować poezją. Jednym wystarczą fragmenty z Antoniego Słonimskiego, od kilku dni wrze indeks cytowań, tyle pojawiło się w necie kopii „Słabej Polski” z roku 1941, z podkreślonym czasem, a to dla czytelności konkluzji, końcowym dystychem: „Gdzie dłoń nie utrudzona okrutnym żelazem / I gdzie granica wita tylko drogowskazem”. Granica, rozumiecie. Ale Jarosław Mikołajewski pisze własny wiersz o „trojgu ludzi chyba bez zapalek” „przy granicy

katolicko-chrześcijańskiej”. A mnie kończy się mizerny zapas sarkazmu, z jakim mógłbym komentować pisanie wierszy doraźnych, publicystycznych (nie tylko Wisławie z „Nienawiścią” – nawet Czesławowi, z utworem „Do Lecha Wałęsy”, w 1982, też to za bardzo nie wyszło) i ogarnia mnie niestosowna w felietonie rozpacz. Jarosław Mikołajewski. Tak ważny dla mnie poeta. Sam słuch. A teraz może, i chce, i stać go tylko na tyle: szpilę.

Oczywiście, specjaliści od replik i „pasków” mają na te deklaracje maksymalistów jedno wytłumaczenie: polityczne, i tłuką swojego nudnego pingponga. PiS i anty-PiS, opozycja totalna i Bruksela, a jak któryś lubi się rzucać do kostek, to i o berlińskich stypendiach coś warknie. Mylą się i błędzą, a ja, chociaż widzę płytkość ich ripost, też nie mam gotowej odpowiedzi. Najwyżej intuicję, którą zawdzięczam wspomnieniom własnych patosów: tak, ja też znam tę słodycz w dźwiękach, jaką daje publiczne potępienie. Uniesienie, w którym jak w błysku magnezji widać naszą prawość. Po latach powidok tych uniesień peszy bardziej niż prześwietlone zdjęcia ze studenckich imprez, i trochę bardziej zrozumiały (choć nadal ciemniejszy niż u Słonimskiego) staje się dystych, napisany w 1963 w Berkeley: „Nie znosiłem tych uczniów głupiego Jana Jakuba, / zazdroszcząc im, bo wierzyli we własną szlachetność”.

*Wojciech Stanisławski*

Przeczytaj inne felietony Wojciecha Stanisławskiego z cyklu „Barwy kampanii”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 – 2030

